TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 41. *Chicago, Ills., 7 Kwietnia, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Cóż tam ten jenerał miał tak pilnego? — odezwał się — ażeby aż grę przerywać! Anglik mi zaświecił całą garścią portugałów, jak z pod stępla, muszę się zatrzymać.

— Ciągnij waćpan — sucho i kwaśno przerwała gospodyni. — Anglik podobno nie wróci.

Podskarbic zdumiony obrócił się:

— Jakto? a cóż mu się stało?

— Jenerał przybył go aresztować i powiózł bodaj czy nie do więzienia — półgłosem wyjękneła gospodyni.

Ze wszystkich ust wyrwał się okrzyk zdumienia.

— Jakaś polityczna awantura...

— Nie wiem — rzekła hr. Estella — to pewna, że rzecz wielkiej wagi...

— A zatem tysiąca dukatów, które u niego wziąłem już nie odegra — rzekł uśmiechając się Podskarbic — co mnie wcale nie martwi...

W istocie Anglik nie wrócił. W przedpokoju była już straż, która go nie spuszczając z oka, wyprowadziła do oczekującego powozu. Price wychodząc obejrzał się i sądził, że wśród ciemnej nocy łatwo wyrwawszy się niespodzianie ujść potrafi, lecz oficer w porę pochwycił go za kołnierz, i kilku mocnemi argumentami zniewolono go zająć przeznaczone miejsce. Napróżno odwoływał się do praw między narodowych, jako obywatel wolnego narodu, grożąc zemstą W. Brytanii. Jenerał Byszewski z uśmiechem odpowiedział mu na to:

— Panie Mueller, siedź spokojnie bo ci każe włożyć bransoletki...

Posłyszawszy to nazwisko, więzień spuścił głowę, zamikł, i na twarzy jego odmalował się wyraz zwątpienia. Opuściła go cała buta i śmiałość, z którą się jeszcze odgrażał przed chwilą. Powóz ruszył z więźniem, a jenerał Byszewski pojechał dać znać do zamku, iż Price został ujęty. Natychmiast przystąpiono do obejrzenia jego osoby, i znaleziono przy nim po kieszeniach znaczną część złotych medalów królewskich. W mieszkaniu delegat sądowy ciekawsze jeszcze odkrył zbiory starożytności już popakowane, jakby zacny miłośnik nauki i medalografii sposobił się już do wyjazdu. Były tam i medale ze zbioru króla, i reszty kollekcyj Lorda Spencera i nieświadomego pochodzenia różne zabytki, zdobyte w podróżach z królewskiego Gazophyllacium (skarbca). Znać miły ten gość nie spodziewał się wcale, aby go zaniepokojono, obwarowawszy się zręcznie na czas jakiś podrzuconymi papierami i kilku sztukami w mieszkaniu Janka Leliwy. Rachował na to, że go nawet nikt nie będzie śmiał posądzić.

Leliwę po aresztowaniu osadzono w małe izdebce na odwachu zamkowym. Była ona przeznaczona na więzienie oficerskie, a w nadzwyczajnych wypadkach służyła dla znakomitych więźniów, gdy szło o to, ażeby ich miano ciągle na oku, ani się wymknąć, ani z nikim widywać nie mogli. Odmalować, co się stało z nim, gdy się dowiedział, o co był obwiniony, tem trudniej, że to nie był gniew, ani rozpacz, ale rodzaj obrażonej dumy milczącej, zaczerpniętej z uczucia niewinności. Już postawa jego powinna była naprowadzić na to przekonanie, iż występnym być nie może... Milczał tak chmurny, z zaciętemi usty, z podniesionem czołem, nie chcąc się nawet ani tłumaczyć, ani uniewinniać. Ruszał ramionami, gdy go indagowano, odpowiadał zaledwie półsłowy. Cierpiał okrutnie ale się hamował. Ci nawet, co najmocniej przekonani byli, iż występnym być musiał, dziwili się mocy charakteru, który ugiąć się nie dał.. Tak dni kilka spędził pod strażą najściślejszą, nie okazując niecierpliwości, nie prosząc i nie domagając się o nic. Jedzenie odsyłał, ograniczając się chlebem i wodą byle życie utrzymać.

— Wygląda na męczennika, nie na winowajcę! — szeptali oficerowie. Kilku z nich chcieli się doń zbliżyć, ale się w żadną z nikim nie w dał rozmowę. Zasunięty w najciemniejszy kąt izdebki, całe dnie siedział nie poruszony i milczący.

Gdy wieczorem pochwycono Price'a i przekonano się o niewinności Leliwy, król natychmiast i po kilkakroć ponawiając wydał rozkaz, aby i chwili nadaremnie niewinny nie cierpiał, i żeby go nazajutrz rano uwolnionego przyprowadzono do niego. Czuł on i ks. Albertrandi, że tę fatalną omyłkę należało wynagrodzić jak najgłośniejszem uznaniem niewinności Leliwy... Rano było i ledwie poczynało świtać, gdy ks. kustosz z rozkazem króla wszedł na odwach, słowo szepnął oficerowi i pospieszył do więźnia izdebki. Chłopak nierozebrany, oparty na łokciu drzemał ze znużenia; otworzył oczy powoli, i przychodząc do przytomności powstał.

— Mój drogi panie Janie — zawołał ksiądz ręce obie wyciągając ku niemu, aby go uścisnąć — przychodzę z sercem pełnem radości zwiastować ci nowinę szczęśliwą. Twoja niewinność Bożą prawdziwie mocą i cudem odkryta została, wychodzisz czysty i niepokalany... Jesteś wolnym. Król rozkazał mi, bym, jak tylko wstanie, przyprowadził cię do niego...

Ks. Prałat spodziewał się wybuchu radości, ale twarz Leliwy nie zmieniła się prawie, błysk i drgnienie przeleciały po niej tylko, brew się ściągnęła. Stał milczący.

— Chodź dziecko moje, wyjdźmy ztąd; spocznij, orzeźwij się.... — dodał Albertrandi...

Leliwa narzucił swój płaszcz na ramiona, i nie mówiąc słowa, udał się za księdzem.... Znać było, że zbyt głęboko dotknięty posądzeniem, jeszcze przebaczyć go nie mógł.

— Przyznasz, mój panie Janie — mówił kustosz — iż okoliczności względem ciebie więcej niż my zawiniły. Stała się krzywda, ale nieunikniona.... Bądź pewien, że król, który to czuje, sowicie ci się ją wynagrodzić będzie starał.

Chłopak skłonił się zimno i krokiem powolnym, rozstawszy się ze swym przewodnikiem, udał się do mieszkania dawnego... Stało ono tak, jak je porzucił, ale sprofanowane poszukiwaniem, którego samo wspomnienie go oburzało. Niepodlewane kwiatki, poschły na oknie, rzeczy w nieładzie walały się po pokoju... Le-

liwa chwilę stał zamyślony, spoglądając na izdebkę, w której przeżył i przedumał tyle godzin szczęśliwych. Nie chciał ani na chwilę odpocząć już pod tym dachem; natychmiast zrzuciwszy z siebie liberyę dworską, zaczął ubogie swe rzeczy i książki pakować. Wykonywał to z jakąś zawziętością i pospiechem gorączkowym, chwytał, wiązał, uprzątał, jakby jednej godziny dłużej tu nie miał pozostać....

Król wstawał dosyć rano; jak się tylko ubrał, posłano po Leliwę. Paź, dawny towarzysz, który po niego przyszedł, zmieszany jakoś, zastał go pakującego rzeczy ostatek.

— Niepotrzebnieś to zrobił — rzekł — wszakże zostaniesz z nami.

— Nie! — krótko odparł Jan — nie, bo nie chcę.... Pali mnie tu, jakbym po ogniu stąpał, dusi powietrze, którem oddycham, mam dość dworu, łaski i służby...

— Czekaj! czekaj! słowo królewskie zmieni to postanowienie.

Leliwa potrząsł głową.... Stali u drzwi gabinetu, z którego Ryx wychodził; wpuszczono Janka. Król wyciągnął doń rękę.

— Niewypowiedzianie mnie boli, coś niewinnie przecierpiał — rzekł. — Niewinniśmy! byliśmy w fatalnym błędzie. W obec całego dworu uroczystem słowem mem oczyszczę cię; proś, o co chcesz, czuję ci się dłużnym.

— N. panie — odezwał się Janek — o nic nie proszę tylko o uwolnienie; a WKMość raczysz też w oczach tych, o których dobre mniemanie mi idzie więcej niż o życie, oczyścić mnie z ohydnej plamy...

— Tak, przyjeżdżała tu p. pisarzowa prosić za waćpanem, dziś jeszcze ja pojadę do niej, powiem jej. Ze służby nie potrzebujesz się uwalniać, ja ci ręczę, że tego nie będziesz żałował.

Leliwa się skłonił.

— Wdzięczen jestem za łaskę WKMości — rzekł — lecz postanowienie moje niezmienne. Miałem czas przez tych kilka dni zastanowić się nad sobą; nie jestem stworzony do dworu.

— Czuć jeszcze w wyrazach tych gorycz, jaką cię napoił ten wypadek, ale nigdy jawniej, dowodniej niewinność nie wyszła w tryumfie...

Leliwa zamilczał; pukano do drzwi, skłonił się i wyszedł. W korytarzach otoczyli go towarzysze znajomi, winszując i ubolewając i ciesząc się. Podziękował sucho.... wszyscy zrozumieli, iż krzywdy nie przebaczył, że tkwiło w nim jej uczucie jeszcze tak żywe, tak gorące, iż się lękał ust otworzyć, aby się z niem zbyt wyraźnie nie objawić...

Z postawy Leliwy wyczytał to król także i zabolał nad tem; nie stracił godziny, spełniając co przyrzekł. Kazał mu być na pokojach, i zgromadziwszy cały dwór, w wyrazach najżyczliwszych oddał sprawiedliwość pokrzywdzonemu. Kareta stała gotowa, Leliwie kazano towarzyszyć jej konno do pani pisarzowej.

Tu o niczem nie wiedziano jeszcze, dom cały był w strapieniu wielkim, bo Ewunia coraz gorzej się miała. Zebrani doktorowie bardzo byli o nią niespokojni, matka jedna i siostry domyślały się przyczyny tego nagłego wstrząśnienia i choroby... Wielkie było podziwienie pani pisarzowej, gdy się ukazał, wiodąc za sobą Leliwę. W kilku słowach zrehabilitował młodzieńca, który stał zarumieniony z należnem poszanowaniem w progu. W tejże chwili Ludwika, która była przytomna przyjęciu, pobiegła do łoża siostry szczęśliwą jej oznajmić nowinę.

Można sobie wystawić, jak radość była wielka i jak podziałała na chore dziewczę, kiedy ku wieczorowi już tego dnia lekarze znaleźli polepszenie. Pisarzowa zapomniawszy ostrożności, chciała posłać do zamku i zaprosić pod jakim pozorem Leliwę do siebie, lecz biedny chłopak zaledwie wrócił z królem do zamku, zabrał co miał i natychmiast dwór i służbę opuścił....

Ks. kustosz niezmiernie go żałował:

— Harda dusza, harda dusza — powtarzał — dziwować się nie ma co, krew to szlachecka, która choć urazę przebaczy... zapomnieć jej nie umie. Ani mu się dziwować godzi, iż dwór opuścił, daj Boże tylko, by się nie zmarnował i nie przepadł.

Gdyby był Janek pragnął, mógłby zostać na dni kilka przynajmniej prawdziwym bohaterem, tak cała Warszawa zajmowała się jego przygodą, którą umyślnie, dla zupełnego oczyszczenia chłopca niewinnie posądzonego, ogłosił w gazecie swej ks. Łuskina, opisując zarazem historyę Tomasza Price alias Jana Muellera... który teraz wybierał się do rodzinnego Ham

burga w niemiłem towarzystwie policyjnych strażników.

Szukano oczyma pana Jana wśród królewskiego dworu i dowiedziano się z podziwieniem, iż natychmiast podziękowawszy za służbę, zamek opuścił. Między innemi doszła o tem wiadomość i do pana Podskarbica, który się głęboko nad nią zadumał. Uwolnienie Janka nowym go nabawiało niepokojem; posłał na zwiady zaraz, dokąd się udał, i jakie miał zamiary nadal. Dowiedzenie się wszakże nie tak było łatwem, jak się zrazu zdawało. Wprawdzie wyniósł się z zamku, lecz dokąd, nie spowiadał się nikomu. W mieście nikt go nie widział, domyślano się, że mógł wyjechać, a Podskarbic zaczynał go posądzać, iż mógł się udać do Krakowa. Cóż, gdyby powziął myśl jechać z podziękowaniem do ex-wojewodzinej?

Zaniepokojony mocno Podskarbic kazał szukać kulawego Brzeskiego, nie wiedzieć w jakich zamiarach. O tym wiedział z pewnością, że się znajdował w Warszawie, a nie wątpił, że o schronieniu Janka i jego projektach wiedzieć musiał.

Nieszczęśliwemu kuternodze trudniej się było ukryć ze swoim kalectwem, niż komu innemu; wynaleziono go w prędce w jakimś dworku za Nowym-Światem. Posłannik Podskarbica znalazł jego i żonę pakujących się do podróży. Na zaproszenie Brzeski ramionami ruszył, coś odmruknął niewyraźnego, ale w końcu dodał:

— No, to przyjdę.

Zjawił się nazajutrz kwaśny i posępny. Podskarbic, który noc spędził niespokojną, kazał zaraz drzwi pozamykać i wciągnął go do najdalszego gabinetu.

— Słuchaj Brzeski — rzekł — gadajmy po ludzku.... Jesteś na mnie zły, a to jabym na ciebie się wściekać powinien. Jednakże widzisz, przebaczam ci...

— Ale zapewne! — przerwał kuternoga — a ja panu nie przebaczam, boś mnie wciągnął w to.... że ja całe życie pokutować muszę..

— Boś głupi — odparł Podsbarbic — cóżeś takiego zrobił?

— A łzy tej kobiety?

— Dajno pokój, to są romanse — zawołał Podskarbic — mówmy o tem, co jest.

Dumny pan zbliżył się do sługi.

— Co on myśli czynić z sobą?

— Któż to on? — rzekł Brzeski.

— Nie nudź mnie i nie doprowadzaj do niecierpliwości, gdyż aż nadto rozumiesz. No, on, ty przecie wiesz o nim.

— Ja tam nic nie wiem — bąknął kuternoga.

— Czuję się w obowiązku pewnej restytucyi, a radbym, żeby sobie gdzie ztąd daleko ruszył. Rozumiesz... Niech się wybierze... do do... no! dokąd chce, byle daleko; dam mu pomoc... mogę mu coś ofiarować.

— Ani ten on nie przyjmie, ani ja mu będę śmiał to proponować...

— No, cóż z sobą robi?

— Albo to ja go prowadzę... Zrobi, co zechce...

— Przyślij go do mnie...

Brzeski potrząsł głową.

— Nie pójdzie, i ja go nie poślę.

— Patrzże tylko, stary ty bigocie — zawołał zniecierpliwiony Podskarbic — że ty przez źle zrozumianą o niego troskliwość gubisz go. Przecież go nie zjem. Dałbym mu do kaduka jakie tysiąc czerwonych złotych, żeby się z kraju wyniósł. Hm? Dwór saski zawsze jeszcze pamięta straconą Polskę.... Pełno tam naszych, znalazłby protekcyę, przyjętoby go do wojska..

— Tak! śliczna planta? — rozśmiał się Brzeski — ale do czego jemu to wszystko? Gadajmy otwarcie, kiedy już o tem pan mówić każe. On młody, pan stary.... są świadki i dowody, co się stało; póki pan żyjesz, milczymy... a potem... on swe prawa odzyszcze..

Podskarbic aż się rzucił.

— Niedoczekanie wasze! Ja żyć będę, tyś starszy odemnie, a gdy ciebie nie stanie, jak dowiodą? jak?

— To moja rzecz — spokojnie dodał Brzeski. — Jam starszy, ale pan żyłeś nie szczędząc życia, a ja sobie pomaleńku.... Toć zobaczymy, co Bóg da.

Zimna krew kuternogi do wściekłości niemal przyprowadziła Podskarbica.

— A no, to zobaczemy — rzekł szydersko.— Ja się też będę starał obronić, dziękuję za przestrogę.

— Nie ma za co — szepnął Brzeski, pokłonił się i wyszedł.

Ewunia szybko przychodziła do zdrowia, a pani pisarzowa chodząc codzień do kościoła dziękować Bogu za cud okazany, gdyż lekarze już byli o życiu jej zwątpili, zarazem smuciła się tą myślą, że jednak czemu innemu przypisać nie było podobna jej uzdrowienia, tylko o uwolnieniu i usprawiedliwieniu Leliwy. Skutek tej wiadomości był widoczny, dotykalny; dziewczynka uśmiechnęła się, wstała tegoż dnia i powróciła do życia.... Dwie starsze siostry szeptały między sobą o tem uśmiechając się, matka nie śmiała nawet myśleć. Dręczyło ją to, że dziecię przywiązało się właśnie do chłopaka ubogiego, bez rodziny, który nie mógł nigdy być mężem kuzynki J. K. Mości. Kilka dni tak upłynęło, zdrowie całkiem prawie powróciło, ale smutek pozostał. Niczem jej rozweselić, rozerwać nie było można. Macierzyńskie serce myślało, jakby dziecię choćby raz jeszcze rozweselić, orzeźwić, i powiedziało sobie, że jeden raz, tylko raz jeden bytność Leliwy wpłynąć na przyszłość nie mogła. Sam Jan był tak skromny, nieśmiały i małomówny, iż zbytku zuchwalstwa z jego strony wcale się obawiać nie było można. Wreszcie sama nawet grzeczność wymagała, zaprosić go, pocieszyć, dodać mu otuchy, okazać, że ten wypadek nie zepsuł mu opinii u ludzi. Posłała więc pani pisarzowa swojego vice-marszałka dworu do zamku, aby Leliwy poszukał, bo choć mówiono o oddaleniu się jego, ona temu wierzyć nie chciała. Przyniesiono wiadomość, iż Jana Leliwy od dawna już na dworze nie było. Posłany ani się mógł też dowiedzieć nawet, co się z nim stało. Ewunia już wiedziała o zaproszeniu, nie wiedziano teraz, jak jej oznajmić, że go jeszcze szukać trzeba i że nie wiedzą, gdzie go szukać. Pytano osób kilku, mających ze dworem stosunki, nikt nie umiał powiedzieć o tem. Po długich badaniach i śledzeniach doszli wreszcie, iż Janek z zamku udał się do starego szlachcica, który czasem u niego bywał, a znaczny był tem, że na nogę nakuliwał... Szlachcic ten mieszkał we dworku, z którego się wyniósł, ale dokąd? nie wiedziano. Utrzymywali jedni, że wyjechał, drudzy, że tylko zmienił mieszkanie, a widocznem było, iż życzył sobie, żeby ślad jego stracono.

W owych czasach policyi w mieście urzędowej nie było. Miał osobną król dla siebie, utrzymywała oddzielną ambasada rosyjska, a urząd jej nie mieszał się tak dalece do mieszkańców stolicy, i chwytał dopiero ludzi, gdy się występku dopuścili. Przyjeżdżał, kto chciał, mieszkał gdzie mu się podobało, brał nazwisko, z jakiem mu było dogodniej, nikt się tak bardzo o to nie troszczył. Wynaleźć więc kogoś w stolicy było nader trudno. Ale służyli w takich wypadkach ochotnicy, po większej części żydkowie, którym tajemnice Warszawy były najlepiej znane. Polecano tego rodzaju interesa faktorowi, który z pomocą swych towarzyszów, najgłębiej ukrytą figurę wytropić umiał. Pełnomocnik też pani pisarzowej zrozpaczywszy, ażeby sam sobie mógł dać radę, a szlachcic był otyły i ciężki i chodzić nie bardzo lubił, szczególniej w czas gorący, kazał zawołać sławnego Mordka Feinberga i powiedział mu, o co chodziło. Mordko, o którym jeden z dygnitarzy koronnych zwykł był mawiać, że się nie Mordkiem spieszczonym, ale całą mordą powinien był nazywać, był człowiek niesłychanego sprytu, węchu i domyślności. Wygrzebałby był tajemnicę z pod ziemi... byle ona w niej razem z dukatami była zagrzebana. Mordko podjął się otrzymawszy informacyą wyszukać szlachcica i ex-pazia, jeżeli tylko na świecie jeszcze byli. Trzeciego dnia przyszedł oznajmić marszałkowi, że szlachcic Brzeski kulawy na nogę, ze dworku, który zajmował, wyjechał niby za miasto, wrócił drugiemi rogatkami i zamieszkał przy ulicy Długiej, nająwszy mieszkanie obszerniejsze, w którem dwa najlepsze pokoje zajął młody człowiek, prawdopobnie ex-paź królewski. Żyli bardzo ustronnie, nie przyjmowali nikogo, a młodzieniec codzień z rana wychodził do biblioteki Załuskich na Daniłowiczowską ulicę i tam aż do jej zamknięcia przesiadywał. Pisarzowa nakreśliła na kartce zaproszenie na obiad, marszałek sam je wziął i udał się w miejsce wskazane...

Biblioteka Załuskich była jeszcze nieuporządkowana, w obszernem jej dziedzińcu w murach świeciły już wmurowane popiersia królów, ale i sam dziedziniec i sale dopiero się urządzały. Próżnych pak pełno było w podwórzu, a nierozbitych w sieniach i po schodach. Na dole tylko urządzono rodzaj czytelni, w której najczęściej były pustki, dwóch lub trzech kleryków, jeden lub dwóch cudzoziemców. Cisza głęboka otaczała tę świątynię jeszcze nie konsekrowaną, która nigdy doczekać nie miała, by stała, czem ją chciał mieć założyciel... Każdy

wchodzący gość zwracał uwagę, bo był nadzwyczajną rzadkością, a ks. Jarocki schodził co rychlej witać go i oprowadzać po swym skarbcu. To też gdy się marszałek dworu pani pisarzowej pokazał, naprzód go pochwycił bibliotekarz i ledwie mógł uwierzyć, ażeby tu nie kruków białych ale jasnowłosego szukał młodzieńca. Ten znany z widzenia marszałkowi siedział w kąciku nad jakimś foliantem, który go całego zakrywał, i tak był zaczytany, że gdy mu spadł figlarnie rzucony przed nos bilet p. pisarzowej, przestraszył się go jak pioruna. Podniósł dopiero oczy i spotkał uśmiechniętą fizys poczciwego marszałka, który propter majestatem loci cichutenieczko mu szepnął, iż przyszedł na obiad go prosić.

— A jakże mnie pan tu potrafiłeś znaleźć?

— Hm... to moja rzecz... szanowny panie Janie -- est modus in rebus.... est modus.... nie łatwo to przyszło, ale dość, żem acindzieja wyszpiegował i zabieram.

— A! nie — rzekł rozweselony nieco Jan — muszę się pójść ogarnąć, bo tu siedzę incognito... W istocie miał na sobie szary kubraczek bardzo skromny... a w tej odzieży prezentować się było trudno.

— Zgoda — zawołał marszałek — ale słowo szlacheckie, że się acindziej stawisz.

— Słowo!

Porzucić więc musiał kronikę Leliwa, założywszy ją sobie arkuszem papieru, i poszedł się przebrać...

Na godzinę oznaczoną dotrzymał verbum nobile, stawił się do pani pisarzowej.

Nie było tego dnia nikogo, oprócz niej, trzech córek, bo i Ewunię do stołu przyprowadzono i tryumfującego marszałka, wreszcie i ubogiej starej kuzynki. W myśli pani pisarzowej był to obiad pożegnalny dla biednego chłopaka... który już więcej progu tego domu przestąpić nie miał. Przyjmowano go jednak bardzo uprzejmie i mile. Pisarzowa, osoba wielce poważna i dobrego serca, zaczęła go wypytywać, co z sobą teraz myśli zrobić i jaki stan obierze.

— Tego jeszcze prawdziwie nie wiem — odezwał się Leliwa — chociaż mnie zamłodu głupim Jankiem nazywano, czuję w sobie powołanie, a raczej niepomierne nauki pragnienie. Chciałbym się jej oddać. Lecz u nas nie jest to stan..... trzeba przywdziać sukienkę duchowną, żeby mieć prawo i czas być uczonym.

— A! więc myślisz pan o stanie duchownym? — pochwyciła prawie uradowana pisarzowa. W tej chwili wyraziste oczy Ewuni padły z wyrazem dziwnej trwogi i zapytania na Jana, i zmieszał się biedaczysko.

— Nie, pani, jeszcze w tej mierze nic nie postanowiłem, wacham się. Majątku nie mam, więc gospodarzem nie będę, wojskowym podobno za późno mi chcieć zostać, bo widzę po moich towarzyszach z korpusu, że i do tego stanu osobnej nauki trzeba... o miejsce w kancelaryi wystarać mi się trudno... czekać więc będę jakiejś skazówki opatrzności, a tym czasem się uczyć.

— Wszystko to, coś pan powiedział, bardzo pochwalam — odezwała się pisarzowa — lecz dla czegożbyś nam nie pozwolił okazać ci naszego serca i wdzięczności użyciem wpływów, jakie tu mamy, aby ci wyrobić jakieś miejsce? Wielu mniej zdolnych wciskają się za protekcyą; król waćpanu chętnie poda rękę.

— Pani pisarzowa dobrodziejka daruje mi — rzekł Leliwa — może to grzech, ale ja, ja prosić nie potrafię. Człowiek powinien pracować i o własnych siłach dobijać się stanowiska...

Pisarzowa zamilkła.

— Nie maszże pan krewnych? — zapytała po chwili.

— Nikogo! — i spuścił głowę.

— Ani osób bliższych, co się losem jego zająć chciały?

— Nikogo, pani! A, mylę się — dodał rumieniąc — byłbym niewdzięcznym, gdybym zapomniał to, żem sercu jednej dobrej pani, której obraz nigdy z mej pamięci nie wyjdzie, winien wszystko. Byłem bardzo młody i bardzo biedny, gdy ta święta pani, dla tego tylko, że jej twarz moja przypomniała rysami tych, których kochała, obdarzyła mnie i przyczyniła się do wychowania mojego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROBINSON KRUZOE

— CZYLI —

SKUTKI NIEPOSŁUSZEŃSTWA

zupełnie nowo i treściwie ułożony.

(Ciąg dalszy.)

Dla Piątaszka jako dobrego pływacza była to fraszka, odległość niewielka z łatwością przeto — mógł się dostać do brzegu — ale Robinson nie mający wyobrażenia o pływaniu, schwycił się za belkę — zdając się na los.

Pozbawiony jednak sposobu kierowania, nie mógł ominąć bałwana, który oblawszy go sobą, pozbawił sił i przytomności do tego stopnia, że Robinson zdoławszy zaledwie krzyknąć o pomoc — znalazł się pod nurtami morza.

Piątaszek usłyszawszy krzyk zwrócił się w kierunku zkąd pochodził, a nie widząc swego pana — z całem wytężeniem daje nura i chwyta Robinsona za lewą rękę, potem za włosy — i w ten sposób trzymając swego najlepszego przyjaciela wyciągnął na brzeg. — Tam zdjął z niego ubiór — leżącego na piasku przewraca to na jedną to na drugą stronę — rozciera zdrętwiałe członki, przykłada swe usta do ust nieprzytomnego towarzysza aby wpuścić do płuc nieco powietrza — i dzięki jego staraniom i dzielnej a prędkiej pomocy, nasz bohater zaczął powoli przychodzić do siebie.

Krew poczęła na nowo krążyć w żyłach — otworzył oczy i jakby obudzony ze snu,— zawołał słabym głosem: „gdzie jestem!" a ujrzawszy poczciwego Piątaszka — z płaczem dziękuje prawdziwemu przyjacielowi za ocalenie od śmierci.

Piątaszek objął go swemi ramiony — a przekonawszy się, że niebezpieczeństwo minęło — nie mógł wstrzymać łez radości obficie płynących.

Któż zdolny opisać tę chwilę, chwilę w której przyjaciel ratuje przyjaciela od śmierci — ten przepełniony radością, ten wdzięcznością, bez granic. Długo nie mogli wyjść z tego stanu trzymając się w objęciach — łzy były tłumaczem ich uczuć — w końcu Piątaszek poprowadził słabego jeszcze Robinsona do domu.

XVIII.

Twardy sen — którego Robinson na wygodnem łóżku doznał, tak pokrzepił jego osłabione siły, że nazajutrz przyszedł do siebie zupełnie; zdrowy, rzeźwiejszy jak kiedykolwiek wstał, aby Bogu podziękować za zachowanie od śmierci.

Burza gwałtowna przetrwała do białego dnia — a gdy uciszyła się wreszcie, poszedł z Piątaszkiem przekonać się o stanie okrętu.

O wschodzie słońca przyśli na brzeg i z żalem spoglądali na miejsce, gdzie jeszcze wczoraj był okręt, a dzisiaj już ani śladu po nim nie zostało, prócz desek i belek, które woda na brzeg wyrzuciła. Nie tracąc czasu, zgadzają się z losem, korzystając przynajmniej z tego co pozostało — Robinson i Piątaszek zaczęli ściągać wyrzucone szczątki okrętu do swej warowni.

W przeciągu ośmiu dni — wszystko było do domu zabrane i Robinson znalazł się panem zdrowego, wyrobionego materyału budulcowego.

Niedługo się namyślali nasi wyspiarze co

dalej robić — od dawna było ich zamiarem, zbudować sobie dom — który na teraz był najpotrzebniejszy.

Trudności w wykonaniu tego dzieła były znaczne, bo żaden z nich nie miał wyobrażenia o stawianiu budynku; ale przy chęci — pracy i uwadze wszystko jest możebne.

Mieli wszystkie do tego sposobne narzędzia, materyał gotowy — nic więcej zatem nie potrzebowali robić, jak tylko szczelnie przypasywać deskę do deski i przybijać je na wprzód spojonych palach.

Robota szła chętnie i rosła jak na drożdżach. — W krótkim czasie stał domek, który niczem nie różnił się od naszych wiejskich — o kilku pokoikach, sieni, każdy pokoik miał dwa okna, aby było jasno i wesoło. — Z niespodziewaną zręcznością powprawiał Robinson szyby, wyjęte z okien okrętu — w okna swego domku, których poczciwy Piątaszek nie znając z wielką ciekawością to macał, to skrobał, — to wyglądał przez nie blizko przez godzinę — i dalejby może robił swoje spostrzeżenia, ale Robinson widząc że coraz więcej seryo bierze się do nich z obawy stłuczenia, przywołał go do ciosania futryn na drzwi.

Kiedy już i zrąb i dach był gotowy, Robinson pomyślał o wygodnem wchodzie do takowego; tak jednak miał być wykonanym, aby w niczem nie osłabiał fortecy.

Dotychczas bowiem całe zabudowanie Robinsona oposane było wałem — chcąc więc dostać się do wnętrza, wypadało piąć się po drabinach do wierzchu wału przymocowanych.

Znalazł się i na to sposób — przekopali nasi robotnicy w jednem miejscu wał — i w ten otwór wprawili silną bramę, od tej zaś szedł most zwodzony, który zarzucał się na fosę dla przechodzących — w razie zaś napadu podnosił się za pomocą łańcuchów i odsłaniał fosę trudną do przebycia.

W tem miejscu skierowane zostały 2 armaty w przeciwną stronę także 2 i po bokach po tyleż — wszystkie ponabijane.

W inny sposób nie można było się lepiej zabezpieczyć od napadu nieprzyjaciół — mając przytem wygodny — obszerny wchód i widok.

XIX.

Robinson i Piątaszek zajęci ciągle fizyczną pracą — niewypowiedzianej nabrali zręczności i wydoskonalenia w wykonywaniu wszelkich ręcznych robót. — Siły ich nabrały większej mocy, giętkości — wytrwałość do tego stopnia wzmogła się, że bez wypoczynku zdolni byli cały dzień najtrudniejszą i najcięższą pracą być zajętymi, nie czując utrudzenia — do czego wielce przyczyniło się nabranie wprawy i umiejętności. — Wesołość przy codziennych zajęciach, czerstwe zdrowie, nigdy ich nie odstępowało.

Ztąd wzniosek — a raczej pewnik — który ciągle powtarzany — nie każdemu przypada do gustu, nie każdemu wbija się w pamięć o to: że Bóg stworzył człowieka do ciągłej pracy — przy niej jest zdrowie i wesołość i czyste sumienie i to największe szczęście człowieka, o którym tyle mędrcy mówią — „zadowolenie z wypełnienia swych obowiązków." — Kiedy przeciwnie przy braku zajęcia — człowiek staje się najnieszczęśliwszym — nudzi się — nic go nie bawi, nie zajmuje, wewnątrz czuje jakąś zgryzotę — bo mu ktoś szepce do ucha — żyjesz na darmo, umrzesz — a nikt cię nawet znać nie będzie.

A jakie to ztąd złe następstwa — za młodu nie nauczy się niejeden pracować — przyjdzie czas, gdzie trzeba będzie myśleć o sobie — brak się uczuć da, a wtedy gotów dopuścić się taki największej zbrodni, aby tylko nie wziąść się do pracy, która uszlachetnia — ale wróćmy do Robinsona i jego towarzysza.

Żyjąc w sposób powyżej opisany — przebyli jeszcze pół roku. Ale Robinson wciąż o swym rodzicach, ojczyznie — a Piątaszek o swym ojcu myśleli. Ciągle im stało na pamięci, jakimby sposobem zadowolnić jedyne pragnienie serca.

Uspokoiwszy się po stracie łodzi — nie było innej rady — jak wziąść się do zrobienia drugiej, bo to jedyny na teraz sposób osiągnięcia celu.

Ale nowy wypadek zmusił ich do odłożenia na później wykonanie tego postanowienia.

Kiedy Piątaszek pewnego rana wyszedł na brzeg morza aby nazbierać ostryg, Robinson niedługo czekając na niego — ujrzał,

jak przestraszony co tchu starczyło w całym pędzie wraca — a wpadłszy do domu te tylko zdolny był wymówić słowa: „Oni są tam!"

Przestraszony Robinson domyślając się znaczenie tych słów, — wybiegł prędko na pagórek, i uwidział nie bez trwogi, jak z sześciu łodzi dzicy nie opodal na brzeg jego wyspy wylądowali. — Wrócił pędem natychmiast do domu i pytał drżącego Piątaszka, czy ma dosyć odwagi, i czy jest przygotowany wraz z nim walczyć z nieprzyjaciołmi? „Na śmierć i życie," odpowiedział Piątaszek nabierając przy tych słowach odwagi i męztwa.

Z tej strony zabezpieczony ściągnął Robinson jedną armatę z wału, wziął sześć ostrymi ładunkami nabitych strzelb, cztery pistolety i dwa pałasze — Każdy z nich zatknął po dwa pistolety za pas, przypasał pałasz, wziął trzy strzelby na ramię — i ciągnęli z sobą jedną armatę zabrawszy przy tem potrzebny zapas prochu, kul i szrótu.

Robinson objawił plan swój do boju towarzyszowi w ten sposób: musimy mówił on, w najgęstszych krzakach tak tajnie się skryć, aby nas nie widziano, a my abyśmy wszystko naraz przejrzeli, przytem wystawić tak armatę, aby kule szły po nad głowami ludożerców. Niezawodnie nieprzyjaciele przestraszeni niezwyczajnem hukiem armaty, rzucą się do ucieczki, zostawiając łupy na placu. Wtedy wykładał dalej Robinson, będziemy mieli przynajmniej zadowolnienie ratując od śmierci nieszczęśliwych, którzy skazani zostali od dzikich na pożarcie, nie wylawszy ani kropelki krwi ludzkiej.

Przy tych słowach podał swemu współbojownikowi rękę a szczery uścisk był tłumaczem wierności, poświęcenia i jedności między nimi. — Średnim krokiem postępując doszli do miejsca, gdzie się już krzaki kończyć zaczynały, i w tem miejscu zakomenderował „stój!" — Ztąd łatwo można było dojrzeć, jak w liczbie 40 do 50 kołem siedzieli Kanibale przed ogniem i z radosnym dzikim okrzykiem pożerali mięso dopiero co upieczonego więźnia. Drugi z schwytanych leżał w pewnym oddaleniu związany na ziemi, który zapewne niezadługo miał być zabitym. — Odległość była tak blizką, że Robinson rozróżnił twarz leżącego więźnia i poznał, w nim białego Europejczyka. — Widok ten, taką wzniecił odrazę i gniew w naszych wojownikach, że potrzebowali prawdziwie zimnej krwi i rozwagi aby nie wycelować w prost w tę zgraję potworów i nie wystrzelać co do nogi.

Uzbroiwszy się przeto w cierpliwość, uspokoiwszy gwałtownie bijące serce, skierował Robinson armatę, tak, aby kula przeleciała nad głowami dzikich, położył następnie dwie strzelby na ziemię, trzymając jedną w ręku. Piątaszek poszedł za jego przykładem. — Przyłożył wreszcie rozpalony lont, — i strzał armatni wypadł z hukiem.

W tej chwili dzicy tak zostali nagle przerażeni, że co do jednego padli na ziemię jak zabici. — Ale w pół minuty zerwali się na równe nogi. Mniej odważni poczęli uciekać na brzeg do łodzi, śmielsi rozglądali się na wszystkie strony, chcąc dowiedzieć się, co to się stało, i pochwytali za swoją broń. — Na nieszczęście nie widzieli oni ani wybuchu zapalonego prochu, ani też kuli, — tylko sam huk strzału usłyszeli. Przez to przestrach z ich strony nie był tak wielki jak to się można było spodziewać, — i kiedy się dobrze na wszystkie strony rozpatrzyli, nic niebezpiecznego nie dojrzawszy coby ich miało utwierdzić w wznieconym strachu, poczęli powoli do siebie przychodzić, opamiętywać się. Uciekający powrócili, wszyscy wydali przeraźliwy wrzask, i machając dziko i groźno swą bronią w powietrzu, rozpoczęli taniec wojenny. Robinson jeszcze nie był zdecydowanym co w obecnej chwili dalej robić, ale kiedy dzicy skończyli swój taniec i widzi, jak oni na nowo obsiedli ogień do dalszej kanibalskiej uczty, a wybrawszy dwóch z siebie wskazali na leżącego więźnia w zamiarze zapewne zabicia tegoż i upieczenia, — nie mógł już więcej znieść takiego widoku, nie mógł dłużej zachować się bezczynnie, ale wskazawszy towarzyszowi swemu po lewej stronie będących nieprzyjaciół, chwycił za strzelbę wraz z Piątaszkiem, i dali oba na raz ognia.

Piątaszek lepiej mierzył, bo po jego stronie padło pięciu odrazu, Robinson powalił trzech. — Ci trzej ostatni padli trupem, pozostali zaś w liczbie pięciu leżeli na ziemi ciężko ranni, wijąc się i wrzeszcząc przeraźliwie. — Jaki strach, zamieszanie i hałas powstał w obozie nieprzyjaciół, trudno opisać. Wszyscy zaczęli uciekać sami nie wiedząc gdzie, w natłoku jeden drugiego deptał, popychał, a wszystko to czynili rycząc strasznie jak opętani.

Robinson porwał za pałasz, chcąc wysko-

czyć z za krzaków, uderzyć w nich, rozbić tę chmarę i wyratować z więzów nieszczęśliwego współrodaka. Ale ku wielkiemu jego zdziwieniu dojrzał, jak uciekający znowu zwrócili się, gromadząc się w jedną bandę, i gotować do bitwy.

Porwał zatem za drugą strzelbę a za nim i Piątaszek, i zmierzywszy palnęli powtórnie. — Tą razą padło dwóch tylko ale za to było mnóstwo poranionych, którzy widząc padających towarzyszy z przestrachu porzucali broń i z przeraźliwem rykiem zaczęli uciekać na łodzie. — Teraz rzucił Robinson wystrzeloną fuzyę na bok, wziął trzecią która była jeszcze nabitą i zawołał: „Dalej Piątaszku naprzód!"

Z temi słowy wyskoczyli obaj z za krzaków na miejsce boju. — Robinson przyskoczył zaraz do przeznaczonego na śmierć ziomka, aby mu przynieść pomoc.

Zaledwie jednak zbliżył się do niego ale w dzikich odezwała się właściwa chciwość, zapamiętałość, — znaczna ich ilość zaniechała ucieczki zwracając się na powrót, a porywając za broń szykowała się do nowego ataku. Wypalony celny strzał Robinsona powalił dwóch najśmielszych na przodzie będących, co dokonawszy, dopiero zwrócił się do skrępowanego więźnia, rozerznąwszy nożem postronki którymi był cały powiązany.

Pytał go się zaraz ciekawie, co on za jeden? a z odpowiedzi mógł wnosić że uratowany był chrześcianinem i pochodził z Hiszpanii — Robinson uzbroił nowego towarzysza jak mógł, zatkał mu pistolet, dał do ręki pałasz i wraz z nim zwrócił się ku nieprzyjaciołom aby dokończyć zwycięztwa.

Tymczasem Piątaszek na nowo ponabijal wystrzelone fuzye, i stanął naprzód podczas zatrudnienia Robinsona przy nowo oswobodzonym. Hiszpan widząc się wolnym i uzbrojonym, z całą zemstą rzucił się na swych morderców, i dwoma cięciami pałasza zmiótł odrazu dwie głowy jak makówki. — Waleczny Piątaszek kiedy mu już zabrakło strzałów, z pałaszem w ręku gonił wrogów póki sił starczyło, okładając nim w prawo w lewo na wszystkie strony, kogo tylko mógł dopaść. Tak zapędził ich na sam brzeg morza, ścieląc po drodze śmierć i zagładę.

Ci którzy zdołali ujść jego ręki, powskakiwali do wody, a dostawszy się do łodzi, uciekali co sił starczyło.

Robinson przebiegał pobojowisko, — szukając czy gdzie nie znajdzie rannego, którýby pomocy potrzebował; ale po większej części byli nieżywi, lub tak ciężko ranni, że nim można było przyjść z jaką pomocą, poumierali. —

Zabitych nieprzyjaciół było 21 — z ich strony nie było żadnej straty, tylko Hiszpan bijąc na ślepo zapalony gniewem i zemstą, — oberwał potężnego guza na czole, od uderzenia bambusową maczugą.

XX.

Dzicy w zamieszaniu tylko cztery łodzie z sobą zabrali, dwie zaś zostały przy brzegu wyspy. Gdy Robinson je spostrzegł, z radością przybiegł na brzeg i do jednej z nich wskoczył; ale jakież było jego zdziwienie, kiedy w tejże zobaczył leżącego człowieka w najokropniejszy sposób postronkami łozowymi skrępowanego, i tylko słabym oddechem dającego ślady życia. Robinson szybko rozciął więzy, usiłując go podnieść i na nogi postawić. Ale tenże dumnie spojrzał na naszego bohatera, i choć słaby — na w pół żywy, powstał o własnej mocy, coś przemówił niewyraźnie, i usiłował z łodzi na brzeg wyjść. Ruchy jego i sposób obejścia pokazywały, że był więźniem pojmanym przez dzikich, których Robinson przy pomocy towarzyszy przed chwilą pobił i rozpędził, a w mniemaniu że go na śmierć prowadzą, ostatkami życia jeszcze pokazywał swoją dumę, nie chcąc się poniżyć do prośby swych oprawców.

Wycięczony jednak i osłabiony ranami na nogach i rękach od wici i sznurów, padł na dno łodzi, nie mogąc się ruszyć.

Nie był to Europejczyk, lecz również dziki, nie mogąc się przeto z nim rozmówić, zawołał Piątaszka aby tenże swemu rodakowi sprawę wytłumaczył, i wyprowadził go z błędu. — Zaledwie Piątaszek oswobodzonego więźnia zoczył, — skoczył raptem z wykrzyknikiem do wnętrza przenikającym ku niemu, rzucił się w objęcia, całując i ściskając, z głośnymi okrzykami, to znów odskoczywszy, śmiał się klaszcząc w ręce, tańczył i płakał; i zdawało się że zmysły postradał.

Robinson i Hiszpan patrzeli w ciekawem

zdumieniu na te dziwne czyny Piątaszka od łez nie mogącego się wstrzymać.

— Po upływie kilku chwil zdołali wreszcie wymódz słowa tłumaczące jego zachowanie się. — „Mój ojciec! mój ojciec" wołał on śmiejąc się, łkając od radości ze łzami w oczach.

W jaki sposób okazywał Piątaszek swą miłość ku ojcu swemu i radość spotkania się z nim, trudno opisać, — to tylko uczuć można. Po dwadzieścia razy wskakiwał do łódki — to znów wybiegał na ląd, i znów powracał, klękał, ocierał rany ojcu przez silne skrępowanie postronkami doznane, całował je, to znowu zrywał się, obejmował za szyję, ściskał i płakał.

Hiszpan usiłował podnieść swego towarzysza niewoli, i odprowadzić na brzeg, ale to było ostatnie wysilenie. — Stan w jakim przed chwilą zostawał, i obchodzenie ludożerców tak było okropne, przytem natężenie wywołane momentalnem uniesieniem, wyczerpało ostatki sił, tak dalece, że bezwładny padł na spód łódki.

Teraz dopiero dostrzegł Robinson, że Hiszpan nie w lepszym od ojca Piątaszkowego znajdował się stanie, i jemu to samo krew obficie płynęła z rąk i nóg przetartych sznurami. — Nie namyślając się długo, wzięli się Robinson z Piątaszkiem jak najprędziej do zrobienia noszów, pokładli na nie obydwóch chorych, i ponieśli do fortecy. — Tam zajęli się poscieleniem łóżek, i położyli ich do spoczynku, bo sen dla takich osłabionych był jedynem wzmocnieniem.

Tymczasem zajęli się nasi gospodarze przyrządzeniem o ile możności najlepszej wieczerzy dla swych gości. Piątaszek wysłany został po młodą lamę, a Robinson po zabiciu zajął się jej przyrządzeniem.

W tej chwili wyglądał Robinson jak król wyspy, ta cała do niego należała, miał ją pod swymi rozkazami, — przytem był otoczony licznym dworem, którzy byli mu zupełnie oddani.

XXI.

Kiedy sen wzmocnił siły nowych gości, i ci przebudzili się, kolacya była już gotowa. Nie byli oni jeszcze zdrowi, — ból nieznośny dokuczał jeszcze, ale przy staraniu Robinsona i Piątaszka zdołali wstać, i do stołu usiąść. — Przy kolacyi zapytał się Robinson Hiszpana, jakim sposobem dostał się w ręce dzikich? i otrzymał następującą odpowiedź: — „Jestem mówił on, Hiszpanem, przyszła mi raz ochota zwiedzić cudze — dalekie kraje — opuściłem zatem ojczyznę swoją, i siadłem na holenderski okręt, który do Ameryki odpływał. — Przebyliśmy w krótkim czasie brzegi afrykańskie, ale nadzwyczajna burza, przerzuciła nas na brzegi Brazylii. — Okręt uszkodzony był już w kilku miejscach. Załoga zmęczona, jak zbawienia z niecierpliwością oczekiwała przybicia do brzegu stałego lądu, który można było dobrze widzieć. Gdy w tem powtórna burza nastała, ta odpędziwszy okręt od stałego lądu, rzuciła nocną porą w przeciwną stronę ku jakiejś wyspie, i zagnała na skały. — Dawaliśmy o naszym krytycznem położeniu znać wystrzałami z armat, ale daremnie, wreszcie zdecydowaliśmy zostać na okręcie i takowy podtrzymywać na wodzie tak długo jak tylko będzie można. —Wkrótce uznała załoga jako środek ratunku, okręt opuścić, i na łodzie powsiadać. — Zrobiono tak, i niezadługo pełnej nadziei kierowaliśmy nasze łodzie ku poblizkiej wyspie, gdy w tem przeciwny wiatr zadął, łodzie przepełnione ludźmi wywróciły się, i wszyscy wpadliśmy do morza.

Ratowaliśmy się z początku jak było można, pływaliśmy, ale w końcu i siły nas opuściły, i śmierć zajrzała w oczy.

Nie wiem jak się to stało, ale przyszedłszy po niejakim czasie do siebie, ujrzałem się leżącym na ziemi, a obok wszystkich moich towarzyszy. — Dowiedziałem się później, że mieszkańcy tej wyspy — murzyni, widząc nas w takim niebezpieczeństwie przybiegli z pomocą, wyratowali i przyjęli przyjacielsko do siebie. Obchodzenie się tych ludzi było nader gościnne i grzeczne, we wszystkiem nam dogadzali, usługiwali, okazując co chwila nowe do nas przywiązanie.

Tak przebyliśmy między murzynami na wyspie blizko rok, — między najlepszymi z ludzi, którzy będąc sami biednymi, dzielili się z nami tem czem mogli, — ryby i ostrygi stanowiły całe ich i nasze pożywienie. —

Podczas tego nasz towarzysz Holender, do którego okręt należał, umarł; — i w tymże także dniu została nasza wyspa napadniętą przez jakiś dziki wojowniczy lud. — Kto mógł, chwytał za broń, i biegł do boju na nieprzyjaciela.

— Ja z tym oto starcem, podczas najgorętszej bitwy znaleźliśmy się na boku, a wtedy przypadło do nas kilkunastu nieprzyjaciół i otoczyli nas; biliśmy się do upadłego, padali najeźdzcy do koła od naszych razów, ale co jednego ubiliśmy, drugi przyskakiwał, wreszcie siły nas opuściły, nie mogąc się do swoich przebić, zostaliśmy nieszczęściem wzięci w niewolę.

Dwa dni i dwie noce byliśmy w tej strasznej niewoli, nogi i ręce skrępowano nam tak silnie nadzwyczaj, aż kości trzeszczały, i przez ten cały czas nic nie dali ani jeść ani pić. — Dzisiaj o wschodzie słońca, wrzucono nas na dno łodzi, i tu na tę wyspę wzięto, aby, jakby to nie uczyniły najdziksze zwierzęta, zabić i pożreć.” — Przy tych słowach, rzucił się Hiszpan na szyję Robinsonowi, dziękując mu za wyratowanie od tak okropnej śmierci. —

Z opowiadania tego mógł wnosić Robinson, że okręt o którym mówił, był to ten sam z którego rzeczy pozabierał; — objawił całe to zdarzenie mówiącemu pokazując wszystko, co tylko z tego okrętu pochodziło. —

Ojcu Piątaszkowemu nadał Robinson imię „Czwartaszek“ bo to był dzień w którym oswobodzony był i pierwszy raz poznali się. — Nowym przybyszom zaproponował nasz król wyspy, czyliby nie chcieli udać się na wyspę zkąd pochodzili, i zabrać ztamtąd tak krajowców Czwartaszka jak niemniej reszty towarzyszów Hiszpana, którzy tam jeszcze pozosłali. Z wielką radością została ta propozycya przyjętą, nie zwlekając zatem odpłynęli na jednej z pozostałych łódek.

Ośm dni minęło, — a nasi posłowie nie wracają. — Czy się im co złego stało? może znów popadli w ręce ludożerców? — ze dwadzieścia razy wybiegał Piątaszek na brzeg morza, sądząc że może dostrzeże powracających wędrowców, ale każdą razą nadaremnie.

(Dokończenie nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

SKRADZIONA KOSZULA.

Ustęp z życia księdza Piramowicza.

Przy wielkim trakcie z Warszawy do Lublina, leży miasteczko Kurow, od tego ostatniego miasta około sześć mil odległe. W owym Kurowie był niegdyś proboszczem mąż zacny i uczony, ks. Piramowicz, poczciwego bardzo serca, dobroczynny i litościwy, że byłby wszystko rozdał pomiędzy biednych. A przytem sam nie miał wiele, jak to litościwym dzieje się często, i gdyby nie stara jego gospodyni, p. Gałkiewiczowa, skrzętna i zabiegliwa, która o dobro jego dbała i ani dospała ni dojadła, biegając w gospodarce od świtu do ciemnej nocy, — to byłby szanowny proboszcz nieraz pewnie niedostatku zaznał.

Razu jednego w maju, w dniu pięknym, pogodnym, wyszedł sobie ksiądz proboszcz z brewiarzem w pole. Modlił się do Pana Boga spoglądając ku niebu — i aż serce rozradowało się jego, gdy spojrzał na rozległe łany ślicznej pszenicy i żytka, na zieloniuteńkie łąki i jak ptactwo świegotało sobie wesoło, niby na podziękę Ojcu niebieskiemu.

Wtem nadszedł drogą żebrak zmizerowany, wychudły, żółty — istny trup chodzący, a pokrywały go tylko łachmany. Gdy zobaczył księdza, wyciągnął rękę ku niemu i drżąc cały, słów kilka wymówił, o wsparcie prosząc.

„A zkądeś i dokąd?” zapytał proboszcz,

podawszy mu ostatnie trzy grosze, które miał w kieszeni.

„Idę z Płocka dobrodzieju. Byłem tam cieślą, i, ot, spadła na mnie belka, zgruchotała mi rękę i całego z kretesem potłukła.”

Ksiądz Piramowicz dostrzegł, że biedak w miejscu koszuli miał tylko kawał brudnego płatka.

„Wzięto mnie do szpitala,” mówił dalej żebrak, „leżałem tam długo, chorowałem ciężko.. Tymczasem i żona mi zmarła, zmarnowało się wszystko, a teraz, chory jeszcze i kaleka, wlokę się o żebranym chlebie do brata, który jest kaznodzieją w Krasnymstawie.

Zacny kapłan miał łzy w oczach: spojrzał ku niebu i westchnął — spojrzał się na ziemię, tak była śliczną i plony zapowiadała obfite — a tu przed nim stał nędzarz wygłodniały bez odzienia, kaleka!.. Maca się po kieszeniach — szuka — ha! nic tam już w żadnej nie było kieszeni. Wtem myśl jakaś, znać pocieszająca przyszła mu nagle — bo aż się uśmiechnął i pokraśniał.

„Poczekajże tu chwilkę,” wymówił do żebraka i pobiegł za krzaki blizko drogi. Położył brewiarz na trzmielinie, zdjął rewerendę, ściągnął koszulę i zwinął ją w kłębek; potem znowu wdział rewerendę i zapiął ją starannie, aby nikt nie dojrzał, że pod nią koszuli nie było. Podjął brewiarz, koszulę wziął pod pachę, a wróciwszy do biedaka, podał mu ją szybko — zawinął się nagle i derdą ku miasteczku pospieszył. Znać nie chciał, by mu żebrak dziękował — i o mało, że się nad nim nie rozpłakał.

— Ale idąc tak sobie ku domowi, przypomniała mu się gospodyni Gałkiewiczowa, — i ogarnął go aż niby strach przed nią. Zdawało mu się także, jakoby wszyscy ludzie patrzeli na niego, że to on bez koszuli zostaje. Pomknął po za płotem, cicho wszedł do pokoju — i ani już śmiał zawołać o szklankę mleka, które o tej porze zwykle pijał.

W tem patrzy o szczęście niespodziewane! tuż przy piecu stał kosz z bielizną co tylko wymaglowaną. Ksiądz Piramowicz rzuca się ku niemu, wyciąga koszulę i ucieka do alkierza, gdzie sypiał. Potem ubrawszy się, powrócił znowu, jakby nigdy nic nie było zaszło, i zawołał o swoje mleczko i kawałek chleba. Całą radował się duszą, że tak dobrze odbyło się wszystko. Ale, nie mówić to hop! dopóki się przeskoczy.

Nazajutrz rychło bardzo, zbudził go krzyk, płacz i jakiś wielki harmider kobiecy. Porywa się i słucha.

„Wzięłaś, hultajko, wzięłaś!” wrzeszczała gospodyni, tupiąc nogami „nikt inny tu nie postał, jeno ty złodziejko! ladaco! niegodnico! wszyscy woiurnascy niechaj ciebie porwią! Nie daruję, nie daruję!”

Na te wykrzykniki, odpowiedziała dziewka potulnym głosem, zanosząc się od płaczu.

„Widzi Bóg.... Matka najświętsza... Wszyscy Święci.... anim widziała... anim się dotknęła.. O św. Antoni zmiłujże się!”

„Właśnie wraz! Św. Antoni będzie się nad taką złodziejką litował! Jeszcze nie co?” — krzyknęła znowu pani Gałkiewiczowa. „Widziciеż ją, onę złodziejkę, hultajkę, ladaco! Pójdziesz, oj, pójdziesz ty ze mną do pana burmistrza: do komórki, w dyby, rózgami, rózgami tobie! To ciężka praca moja a własność dobrodzieja! Jużeś i sumienia nie miała, niegodziwa, tak dobrego pana okradać. Nie daruję! nie daruję!”

„Jak Boga kocham!.. Przysięgam.. anim płatuszka jednego nie wzięła....

Pot zimny oblał czoło zacnego kapłana: koszula to, nieszczęsna koszula! bo już wiedział, o co tam chodziło. Przywdział się szybko i nagle pomiędzy kobietami stanął.

„Cóż się stało” zapytał niemal bez tchu.

„Ta niegodziwa, hultajka, ladaco, dobrodziejowi, oj, koszulę z tego tutaj ukradła kosza!” zawołała gospodyni i rozkrzyżowała się przed nim, a dziewka głośno ryknęła i jednego słowa wyrzec nie zdołała.

„To nie ona, nie ona! Nie obwiniaj niesłusznie kobieto! To przecież ja... ja sam wziąłem,” wymówił proboszcz, uderzając się w piersi.

— Jakto! dobrodzieju?” — przeżegnała się kobieta.

„Powiadam, że ja!”

„A gdzież wczorajsza koszula?”

„Dałem ją ubogiemu... nędzarzowi,” odrzekł kapłan cichym głosem, zapłoniony całkiem.

Pani Gałkiewiczowa przeżegnała się znowu, upadła na kolana, zmówiła modlitwę, a potem rzuciła się dziewce na szyję i z płaczem przepraszała ją za posądzenie niesprawiedliwe.

„Święty Antoni rychło mnie wysłuchał!" wyrzekła dziewczyna pokornie.

„Ale ktoby też był pomyślał, że to sam dobrodziej..." wymówiła gospodyni, pokręcając głową; „chociaż ja wiem jaki to dobrodziej, ale... ostatnią przecież oddał koszulę!"...

„No, no, cicho już o tem!" - zawołał proboszcz odkrząknąwszy sobie. „Trzymać język za zębami, aby świat nie wiedział o waszych babskich swarach."

Właśnie też i na Mszę św. zadzwoniono.

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Celem jego pochodu było miasto Savannah. Przez dłuższy czas nie było o nim nic słychać wyjąwszy co czasopisma konfederackie podawały. W dniu 13 grudnia zajął jenerał Hazen Fort McAllister nad rzeką Ogeechee w pobliżu Savannah; miasto to opuścił Hardee, jenerał powstańców mający 15,000 ludzi, zniszczywszy przedtem większą część własności i ubiegł do Charleston. W dniu następnym zajął miasto Sherman i pozostawał tam przez niejaki czas, gdyż ludzie jego potrzebowali odpoczynku. W tym samym czasie toczono także walkę w Florydzie i w South Carolina, lecz potyczki i bitwy tam stoczone nie są takiej wagi, aby potrzeba było je tu szczegółowo opisywać. Dosyć, że powiemy, iż w ogóle wojska północne odniosły zwycięztwo. Toż samo można powiedzieć o czynnościach wNorth Carolina.

Powiedzieliśmy poprzednio, że Sherman, nim zniszczył wszystkie komunikacye kolejowe i telegraficzne, wysłał jen. Thomas do Nashville, Tenn. Licząc na ważne wypadki, udzielił mu zupełne pełnomocnictwo. Hood, tak jak Sherman myślał i starał się przebyć rzekę Tennessee. Przednią strażą jego kierował jen. Forrest. Ten pędził nad torem kolei prowadzącej od Decatur do Nashville. Pod Pułaski spotkał się z jenerałem Rousseau, który go zmusił do odwrotu ku Chattanooga. Wkrótce potem nadciągnął ze znaczną siłą jenerał Steedman. Forrest zdołał mu się wymknąć i we wrześniu i październiku stoczono kilka potyczek, w których armie północne daremnie się starały pobić i zniszczyć południowców. Hood i Forrest zniszczyli wspólnie magazyny Unistów pod Johnsonville, w których były zasoby w wartości dolarów 1,500,000.

W dniu 30 listopada atakował Hood jenerała Thomas pod Franklin. Nasamprzód powodziło się Konfederatom a Uniści poczęli się cofać ze wszystkich stanowisk, lecz zagrzani zapałem jenerała Opdyke, zwrócili się i pobili południowców, którzy w bitwie tej stracili 6252 ludzi, podczas gdy strata armii północnej wynosiła 2336, włącznie 1000 żołnierzy, których nieprzyjaciel wziął w niewolę.

Inna bitwa, która się rozpoczęła w dniu 15 grudnia a zakończyła się kilka dni potem zwycięztwem armii Thomas'a, czyli wojsk północnych, zakończyła kampanię w Tennessee, w której do niewoli zostało zabranych 11,587 południowców.

Nietrzeba także zapomnieć o walce, która się toczyła na morzu. Południowcy którzy mieli wiele okrętów z Anglii, płynących nawet pod sztandarem angielskim, szkodzili niezmiernie handlowi stanów północnych. Jednakowoż pomimo strat wielu, zdołali uniści zabrać najgłówniejsze okręty im szkodzące, a Farragut admirał floty północnej, zdobył w dniu 7 sierpnia Fort Gaines, a w 10 dni potem Fort Morgan, oba leżące w pobliżu Mobile, Alabama.

Podczas zaciętych tych powiększej części na korzyść zwolenników wolności wypadających bitew i walk, nadszedł czas wyborów, a lud wybrał jednogłośnie prawie na prezydenta powtórnie Abrahama Lincoln, a na wiceprezydenta Andrzeja Johnson z Tennessee.

Tymczasem wkroczyła armia Shermana do South Carolina i zajęła w dniu 17 lutego Colum-

bię, miasto stołeczne tego stanu. Wskutek upadku Columbii, wynieśli się południowcy także z Charleston, a w dniu 14 kwietnia 1865 r. wywiesił chorągiew amerykańską „Star and Stripes" nad Fort Sumter ten sam jen. Anderson, który w ten sam dzień cztery lata przedtem zmuszony przez okoliczności, ją zwinął, a warownię tę opuścił oddając ją południowcom.

W tym samym czasie powodziło się także armii północnej, którą dowodził jen. Schofield a z którym się jenerał Sherman połączył w North Carolina dla wmocnienia się do bitwy pod Averysboro i Goldsboro, gdzie armie północne odniosły zwycięztwa. — W Alabama zajął mniej więcej w tym samym czasie jenerał Wilson miasto Selma, gdzie się znajdowały główne magazyny Konfederatów, (w dniu 2 kwietnia 1865); w dniu 12 tego miesiąca Montgomery, stołeczne miasto stanu Alabama, w kilka dni później Columbus i Fort Taylor w Georgii. W dniu 11 kwietnia zajął jenerał Canby miasto Mobile w Alabama.

W Virginii i Zachodniej Virginii powodziło się także oddziałom, którymi dowodzili Sheridan i inni jenerałowie, pozostający jak wiadomo, pod naczelnem dowództwem jenerała Granta. W jednej bitwie t. j. pod Five Forks został Sheridan pobity i cofnął się do Dinwiddie Court House.

W tym samym dniu rozpoczął Grant bombardowanie Petersburga, które to miasto się poddało w niedzielę, drugiego kwietnia 1865 r. Zarząd południowców dowiedziawszy się o tem, kazał podpalić większą część miasta Richmond, siedziby rządu i ubiegł. W dzień następny (3 kwietnia) powiewała znów chorągiew związku nad miastem, które było przez cztery lata główną kwaterą i siedzibą buntowników.

Jefferson Davis i jego gabinet uciekli do Danville, dokąd także dążył jen. Lee ze swą armią, lecz dogoniony przez armię Granta, poddał się po bitwie pod Appomatox Court House w McLeans House z całą armią (w dniu 9 kwietnia).

W kilka dni potem rozeszła się nader smutna wiadomość, że prezydent Stanów Zjednoczonych został zamordowanym. Ten przyszedłszy w dniu 14 kwietnia (w Wielki Piątek) do teatru w Washingtonie, został raniony w głowę przez wystrzał z pistoletu przez niejakiego John'a Wilkes Booth, który strzelając do niego zawołał: „sic semper tyrannis". Wydobywając potem sztylet i zawoławszy: „Południowcy się zemścili" ubiegł. W kilka godzin potem został śmiertelnie raniony, podczas gdy władze usiłowały go uwięzić. Współ spiskowcy jego, którzy w ten sam wieczór usiłowali zamordować sekretarza stanu, zostali także aresztowani i zakończyli swe życie na szubienicy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Administracya Andrzeja Johnson.

Nad ranem 15 kwietnia 1865 roku, wyzionął Abraham Lincoln ducha, a w sześć godzin potem objął zarząd Stanów Zjednoczonych Andrzej Johnson, były wiceprezydent.

Po kapitulacyi Lee'a zaszły jeszcze różne potyczki, które po większej części wypadły na korzyść Unistów; dosyć że na początku maja poddali się jeszcze inni dowódzcy powstańców i powstanie zakończyło się.

Zarząd „Stanów południowych" wyniósł się, jak powyżej powiedziano, do Danville i oczekiwał tam armii Lee'a, lecz dowiedziawszy się że została rozbitą, czyli wziętą w niewolę, każdy jeden z jego członków, ratował się jak mógł. Jefferson Davis i pocztmistrz jeneralny południowców, zostali pojmani w dniu 11 maja w Irwingsville i wysłani do Macon, a później do Fort Monroe, zkąd Jefferson Davis za uznaniem sądu najwyższego za kaucyą został wypuszczony na wolność w dniu 19 lutego 1869 roku.

Armia „Stanów północnych" została rozpuszczoną; za poleceniem Granta, puszczono na wolność wszystkich południowców wziętych w niewolę podczas wojny i zaopatrzono w zasoby potrzebne dla zaspokojenia ich potrzeb.

Było po wojnie. — W dniu 29 maja wydał prezydent Johnson proklamacyę, w której każdemu została obiecana amnestya, wyjąwszy w przypadkach szczegółowych.

Amnestya ta i inne kroki przez niego przedsięwzięte wywołały takie wzburzenie między ludem, że w dniu 22 lutego 1868 izba reprezentantów 126 głosami większości, oskarżyła Andrzeja Johnson'a o zbrodnię stanu i nadużycie swej władzy. Sprawa została przekazana senatowi który w dniu 26 kwietnia 1868 r. uznał: że oskarżony prezydent Stanów Zjednoczonych dopuścił się zdrady. 35 senatorów oświadczyło się przeciw prezydentowi, 19 za nim. Ponieważ zaś do przyjęcia uchwały potrzeba było większości głosów — dwie trzecie — dla tego przepadł ten wniosek — potrzeba było jeszcze jednego głosu.

Zaczęła się tymczasem kampania polityczna. Partya republikańska postawiła za kandydatów na najwyższe urzędy Stanów Zjednoczonych Ullissesa S. Granta na prezydenturę i Schuyler'a Colfax na wiceprezydenturę. Działo się to na konwencyi odbytej w Chicago w dniu 20 maja. Partya demokratyczna obrała na konwencyi w Nowym Yorku Horatio Seymour za prezydenta i Franciszka P. Blair za wiceprezydenta. Kandydaci stronnictwa republikańskiego zostali wybrani.

Nim przystąpimy do opisu administracyi Granta, wspomniemy jeszcze o kilku rzeczach,

które zaszły podczas administracyi Johnson'a. W lipcu 1868 r. zajęto się poprawką czternastą do konstytucyi Stanów Zjednoczonych dla zabezpieczenia praw obywatelskich „wszystkich w Stanach Zjednoczonych rodzonych, lub tam naturalizowanych, albo jej prawodawnictwu podległych osób", zwróceniem prawa obywatelskiego niektórym naczelnikom ostatniego powstania, prawnością długu narodowego i zakazem zapłacenia długów „Konfederacyi". Gdy prawa te zostały przyjęte, wydał naczelnik armii Stanów Zjednoczonych (28 lipca 1868) okólnik, na mocy którego zostały ustanowione władze wojskowe w stanach na nowo uorganizowanych. W tym samym czasie zawarto z Chinami traktat, na mocy którego zapewniono obywatelom Stanów Zjednoczonych i Chin pewne prawo odnoszące się do handlu, podróży, nauki i religii. Takiego traktatu nie uzyskało jeszcze żadne mocarstwo.

Druga poprawka do konstytucyi zapewniająca prawo głosowania wszystkim obywatelom rzeczypospolitej „bez wyjątku rasy, koloru i przeszłości" została przyjętą przez kongres w dniu 26 lutego 1869 r. W tym samym czasie przeszedł w izbie reprezentantów „bill" do prawa (a później w senacie) opiewający: Stany Zjednoczone dają niniejszem uroczyście zaręczenie honorowe, że wszystkie obligacye Stanów Zjednoczonych zostaną zapłacone monetą brzęczącą (złotem lub srebrem) całą ich wartość, wyjąwszy w przypadkach, w których prawo wyraźnie powiada, iż obligacye takowe mogą być zapłacone pieniędzmi papierowemi.

Administracya Johnsona kończyła się z dniem 4 marca a Ulisses S. Grant, ośmnasty prezydent Stanów Zjednoczonych, zajął jego miejsce.

ROZDZIAŁ XIX.

Administracya Granta (1869 — 1877.)

Reorganizacya polityczna Unii, nie była jeszcze uzupełnioną, gdy Grant obejmował zarząd kraju. Lecz prezydent i kongres zajął się nią natychmiast i w dniu 23 maja było znów każde krzesło w kongresie zajęte. W dniu poprzednim (22 maja 1872) wydano ogólną amnestyę. Wyjęci z niej byli tylko członkowie 36 i 37 Kongresu, naczelnicy wydziałów, członkowie korpusu dyplomatycznego, oficerowie armii i floty, którzy brali udział w powstaniu.

W tym samym prawie czasie ukończono kolej łączącą dwa oceany (10 maja 1869) tak nazwaną Union Pacific kolej.

Wyspa Cuba starała się w tym samym peryodzie odzyskać swą wolność; w Stanach Zjednoczonych zostały urządzone wyprawy na korzyść powstańców; z tego powodu byłaby o mały włos wybuchła wojna pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Hiszpanią, lecz spór został załatwiony na drodze dyplomatycznej.

W roku 1870 rozpoczęła administracya kroki o przyłączenie wyspy Hayti do Stanów Zjednoczonych; rokowania spełzły na niczem. Wynikiem ich było to, że tak nazwane „Samana Bay Company" uzyskała wszystkie grunta publiczne na półwyspie Samana.

W październiku roku 1871 zniszczył jeden z największych pożarów, jakiego kiedykolwiek, w historyi świata doznano, wielką część handlową i przemysłową miasta Chicago. Pożar trwał 28 godzin; 2500 budynków na obszarze 2000 akrów zostało zniszczonych. Strata wynosiła $200,000,000. W listopadzie następnego roku zniszczył pożar środek miasta Boston, (około 60 akrów). Strata wynosiła $75,000,000.

Mormoni starali się wtenczas o zmianę terytoryum Utah na stan. Pomimo iż terytoryum to liczyło dość ludności, aby się to mogło uskutecznić, to kongres jednakowoż odmówił swego zezwolenia, gdyż wielożeństwo mormonów nie zgadza się z zasadami moralnemi ogółu.

Wspomnieliśmy na innem miejscu, że podczas wojny okręt Alabama, wybudowany i wyposażony w Anglii zabrał lub zniszczył wiele okrętów Stanów Północnych. Na Anglią zwalono całą odpowiedzialność a sąd arbitracyjny, który się zgromadził w Genewie, przyznał Stanom Zjednoczonym wynagrodzenie w wysokości 15 milionów i 500 tysięcy dolarów w złocie, które też wypłacone zostały. Spór z Anglią o granicę nad wybrzeżem Spokojnego morza, został przez cesarza Niemiec rozstrzygnięty na korzyść Stanów Zjednoczonych, którym się dostała wyspa San Juan.

Nadszedł znów czas wyborów. Tak nazwani liberalno-republikanie wraz z demokratami nominowali kandydatem prezydentury Horacyusza Greeley, a wiceprezydentury Gratz'a Brown, republikanie zaś Granta po drugi raz, a Henryka Wilsona za wiceprezydenta. Ci ostatni zostali wybrani i złożyli przysięgę w dniu 4 marca 1873 r.

Dobrobyt kraju zdawał się poprawiać. W styczniu 1875 r. uchwalił kongres prawo, na którego mocy moneta srebrna miała od pierwszego stycznia 1879 r. zająć miejsce pieniędzy papierowych, które począwszy od r. 1861 kursowały.

(Dalszy ciąg nastąpi.)